

Przypadek Alkibiadesa [FELIETON]

Czy lojalny obywatel demokratycznego kraju może pożądać porażki własnego państwa w jakimś konflikcie zewnętrznym? Zwłaszcza wtedy, gdy taka porażka otwierałaby szansę na kompromitację, osłabienie, albo i usunięcie władzy, którą ów obywatel uważa za złą, którą zwalcza i chciałby jak najprędzej zmienić. Jak widać, jest to w istocie pytanie o polityczne granice zdrady – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyku „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Polsce przytrafił się teraz ten sam kłopot, jaki niedawno zdarzył się Włochom. Kiedy w 2019 roku tamtejszy rząd zablokował statkom z nielegalnymi imigrantami prawo wpływania do włoskich portów, prokuratura oskarżyła ówczesnego szefa MSW Salviniego o popełnienie zbrodni „porwania i uwięzienia ludzi”, co włoskie prawo uznaje za akt terroryzmu, zagrożony piętnastu latami więzienia. Oskarżenie to zatwierdził potem zdominowany przez lewicę włoski senat, a w efekcie Salvini jeszcze przez wiele lat będzie borykać się z przewlekłymi procesami karnymi. Różnica między Rzymem i Warszawą jest taka, że nad Tybrem „*i magistrati*” – mający prawo wnoszenia oskarżenia publicznego – są autonomiczni wobec władzy wykonawczej, gdyż tamtejszy system sprawiedliwości jest (trudno w to uwierzyć) jeszcze silniej korporacyjny, aniżeli polski. U nas opozycja wszczęła co prawda nagonkę na rząd, który równie spektakularnie zablokował imigrantów na granicy wschodniej, ale prokuratura jest częścią państwowej egzekutywy, więc trudniej oskarżyć Morawieckiego o terroryzm. Różnica jest jeszcze i taka, że o ile Włochy miały do czynienia z

lewicowymi organizacjami humanitarnymi, „dostarczającymi” regularnie tysiące imigrantów na włoską granicę, o tyle w naszym przypadku rolę „dostarczyciela” pełni miński tyran, który ostatnimi czasy ogarnięty został antypolską obsesją.

Wiadomo, że kwestia nielegalnej imigracji jest problematyczna i drażliwa, więc też mocno dzieli tradycjonalistów i postępowców. Ale nie o tym jest ten felieton. Rzecz w tym, że zarówno we Włoszech, jak i w Polsce, przy tej okazji, na ostrzu noża stanął w debacie publicznej dylemat lojalności i zdrady. Polskie władze są przekonane, iż zarówno nieprzebierające w słowach werbalne ataki na pograniczników, jak i tym bardziej niszczenie zasieków oraz próby przełamania granicznej blokady – to akty nielojalności wobec własnego kraju, gdyż wysługują się one obliczonej na osłabienie Polski polityce mińskiego tyrana. Idzie tu więc o rzecz kapitalną dla wspólnoty politycznej: o to, czy lojalny obywatel demokratycznego kraju może w ogóle pożądać porażki własnego państwa w jakimś konflikcie zewnętrznym? Zwłaszcza wtedy, gdy taka porażka otwierałaby szansę na kompromitację, osłabienie, albo i usunięcie władzy, którą ów obywatel uważa za złą, którą zwalcza i chciałby jak najprędzej zmienić. Jak widać, jest to w istocie pytanie o polityczne granice zdrady.

W dziejach naszej cywilizacji archetypiczną w tej mierze figurą jest Alkibiades – polityk, strateg i pupil Sokratesa, którego mistrz przestrzega (jak wspomina się w „Uczcie”), iż popełnia błąd zajmując się nieustannie Atenami, a nigdy własną duszą. Jak wiadomo, w ostatniej fazie wojny peloponeskiej Alkibiades przechodzi na stronę potęgi perskiej (sojusznika Sparty), ale czyni to po to, aby szachując Ateny niebezpieczeństwem perskim, wymusić na ojczystym mieście usunięcie demokratycznie wybranej władzy i powierzenie rządów

*W dziejach naszej cywilizacji
archetypiczną figurą
politycznej zdrady jest
Alkibiades – polityk, strateg i
pupil Sokratesa, którego
mistrz przestrzega (jak
wspomina się w „Uczcie”), iż
popelnia błąd zajmując się
nieustannie Atenami, a nigdy
własną duszą*

sprzymierzonym z
nim oligarchom.
Plan się udaje i w
411 roku przed Chr.
dochodzi w Atenach
do tzw. przewrotu
Czterystu i obalenia
demokracji. Jak
opowiada w księdze
ósmej swego dzieła
Tukidydes – lud
został sparaliżowany
strachem przed
Persami i nadzieją na
pozyskanie przez

nową władzę perskiego złota, więc też demokratyczni urzędnicy spokojnie odeszli po otrzymaniu pieniędzy, tych zaś, którzy byli niewygodni, likwidowała doraźnie grupa wyznaczonych 120 młodzieńców z arystokratycznych rodzin. I choć oligarchia Czterystu krótko tylko utrzymała się u władzy, lud ateński nie uznał wcale Alkibiadesa za zdrajcę, a wkrótce nawet powierzył mu dowództwo armii.

Tamta antyczna historia ma swe późniejsze niezliczone kopie. W polskich dziejach – najśłynniejszą jest oczywiście Targowica, o której zawsze warto pamiętać, iż jako obrona „złotej wolności” przeciw piekielnym jakobinom, możliwa tylko dzięki dobroci rosyjskiej monarchini, błogosławiona była przez sporą (jeśli nie większą) część ówczesnego katolickiego ludu szlacheckiego. W całkiem współczesnej demokratycznej polityce warta jest uwagi heroiczna batalia, jaką musiał toczyć na dwa fronty premier Boris Johnson, usiłując wywalczyć

dla Anglii jak najlepsze warunki Brexitu, podczas gdy miał przeciw sobie nie tylko unijnych przeciwników, ale także lewicowo-liberalną opozycję w Izbie Gmin, angielskie sądy paraliżujące rząd wyrokami, no i sporą część Brytyjczyków, pragnących, aby ich kraj uzyskał jak najgorsze warunki wyjścia z Unii. A wszystko po to, aby osłabić władzę Johnsona i z pomocą unijnej Europy usunąć jak najprędzej znienawidzonego szefa rządu.

Granice oddzielające polityczną lojalność od zdrady zawsze były płynne i arbitralne. I o ile z upływem czasu posłaliśmy Potockiego i Rzewuskiego do piekła narodowych zdrajców, o tyle po dwóch i pół tysiącach lat nadal nie wiemy co zrobić z Alkibiadesem. Owe granice były przez pewien czas trochę wyraźniejsze, gdy w epoce romantycznej ukształtowały się silne uczuciowe więzi narodowe, umocnione jeszcze przez późniejszą eksplozję nacjonalizmów. To właśnie wtedy pękła kosmopolityczna (jak się wydawało) międzynarodówka socjalistyczna, gdy socjaliści i związkowcy uznali, iż strzelanie podczas I wojny światowej przez proletariuszy niemieckich do francuskich (i *vice versa*) jest prawdziwym świadectwem wspólnotowej lojalności, a nie głoszony dotąd ideał „internacjonalizmu proletariackiego”. Ale tamte czasy minęły i dziś takiej powszechnej lojalności już nie ma. Johnson z pasją walczył na dwóch frontach, ale nigdy nie podniósł przeciw swym wewnętrznym wrogom argumentu o zdradzie.

Rządy muszące bić się na dwóch frontach, to zjawisko z jakim będziemy mieć do czynienia coraz częściej. Ideologiczne konflikty dzielące nasze społeczeństwa są już dziś bowiem silniejsze, aniżeli lepsze narodowej solidarności. Miał rację postmodernista Michel Maffesoli, gdy jeszcze w końcu lat 80. XX wieku wieszczył w słynnej książce, iż najsilniejsze więzi tożsamości będą na przyszłość łączyć

„neoplemiona” skupione wokół swych postnowoczesnych „totemów”. Dziś znamy dobrze te ideologiczne totemy: wielokulturowość, klimat, gejostwo, feminizm, ale także integryzm religijny, czy antyszczepionkowość. Paradoksem jest fakt, iż odradzanie się narodowego patriotyzmu tylko wzmacnia ostrość walk na dwóch frontach. To przecież jasne. Coraz liczniejsza grupa uczuciowych patriotów z tym większą determinacją piętnuje „zdrajców” – tzn. tych, dla których ojczyzną nie jest kraj, ale totem. Ci zaś z tym większym ideologicznym zapalem rewanżują się zaciekle nienawiścią wobec na powrót – ich zdaniem – podnoszącej łeb hydry „faszyzmu”.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

